

Odpowiedź profesora Tomasza Grabińskiego

na tekst Marka Kordosa **Krytyka czystego intelektu** z *M-S-N* 39

Drogi Marku! Twój artykuł w niedawnym numerze Twojego czasopisma sprawił przykrość profesorowi Tomaszowi, emerytowi z Penzy. W dalekim mieście uniwersyteckim pamięta się jeszcze tradycję dawnej *inteligentsji*, której rola polegała na udziale w publicznej debacie społecznej, traktowania jej jako obowiązku, który miał spłacać przywilej, dany jej przez społeczność, przebywania w uniwersyteckich murach. Dla wyrażania swoich myśli miał Wuj Tomasz pisma, które chętnie zamieszczały jego obserwacje, prowadzące zazwyczaj do dłuższych polemik w zaprzyjaźnionych pismach. Inteligentsja nie ograniczała się do penzeńskich profesorów. Włączał się do niej i Pan Longinus Podbipięta, którego nie pytano o dyplom doktorski, bo był to człowiek ogólnie szanowany. Nie negował kulistości Ziemi, chociaż wolał, żeby była płaska, i nie byłby zachwycony, gdyby zaproponowano mu inny rodowód niż z jego Mysikiszek. Również profesor Grabiński, jakkolwiek pilnie śledzi odkrycia, nie jest wszystkim w tych odkryciach zachwycony. Zmusiły go one do porzucenia wielu swoich ulubionych zwyczajów, na przykład kontemplacji nieba nad Penzą, na którym zamiast dawnych gwiazdozbiorów widzi się już tylko, wydrukowane w mózgi przyjeżdżających tam turystów, rozbłyski supernowych. Zarzucasz mu odstępstwo. Rzeczywiście, jakieś odstępstwo w tym jest, ale chodzi o inny odcień tego słowa.

Przejdźmy wszakże do rzeczy. Z uwagą śledzi Tomasz Grabiński spory, które na kształt rewolucji przetaczają się ponad nieszczęsną Rzeczpospolitą. Wojny, które toczyły między sobą narody i między sobą obywatele, były zawsze wojnami i sporami między ich bogami. To wniósł studiując historię Rzeczpospolitej Rzymskiej, historię licznych królestw, rewolucji i herezji. Szuka więc bogów i idei w obecnym sporze i ich nie znajduje.

Jest obserwatorem rzeczy drobnych, bo tylko do takich może mieć dostęp poprzez przeglądanie sobotnio-niedzielnej gazety i wybranego programu radiowego, starannie już przedtem przefiltrowanych obowiązującą poprawnością.

Pewnego dawno minionego miesiąca przetoczyła się przez owe media bitwa o ulgi podatkowe dla twórców. Nie domagał się tego lud, lecz sami twórcy, co profesor z Penzy uznał za antynomię. I tylko tyle napisał do dziennika, nie będąc ani za, ani przeciw.

Nie sprzeciwiał się też prawdzie o ewolucji, pisząc jedynie to, że mu się ta prawda nie podoba. Nie zamieszczono, ale Twoja, Marku, gazeta wychodząca we wsi Grzegorzewice, zmieściła to w formie „listu do uczonego sąsiada”. Były głosy dezaprobaty. Otóż trzeba wytłumaczyć, że profesor Grabiński, entuzjasta poszukiwań naukowych, wie, że nauka odkrywa nie zawsze rzeczy dobre, co więcej, kierując się jedynie zmysłem poszukiwacza, odkrywa w naturze również rzeczy, które są nam nieprzyjemne. W tym miejscu nauka przestaje mieć ostatnie słowo. Nie sprzeciwiali się Rzymianie kulistości naszej Ziemi, ale dopiero wiek szesnasty zderzył nas z faktem, że implikuje ona ograniczoność zasobów i ziemi uprawnej. Zamykamy na ten fakt jeszcze do tej pory oczy. Jeśli słyszy się głosy zaniepokojenia, to nie od strony uniwersyteckiej, gdzie trwa wieczny festiwal ezoterycznych odgałęzień nauk, lecz od strony zmarginalizowanych członków dawnej inteligentsji, z pobłażaniem jeszcze tolerowanej.

Ale też i atakowanej. Przypisuje się jej, że nie przyjmuje prawd odkrytych przez Crika i Watsona, ba, nawet praw Mendla. Jej wysiłki wyjścia naprzeciw konsekwencjom odkryć, traktowane są przez ludzi z uniwersytetów jako sprzeciw postępowi. Czy musiał powiedzieć to za nich dawny nasz prezydent, że „są plusy dodatnie i ujemne”? Ale może ta właśnie dosadność była konieczna, aby przypomnieć, że postęp już od dawna stracił swój znak, a także i jakkolwiek kierunek. Jesteśmy o przeszło dwa stulecia mądrzejsi od ludzi osiemnastego wieku.

Oświecenie oświeca nas w jednym kierunku, którego nawet sobie sami nie wybieramy. Rozwiązujemy zadania, nie pytając, kto je nam stawia. O matematykach powiedział kiedyś Arystoteles, że stawia im zadania Filozof. Nie całkiem miał rację, bo uczonym postawić zadanie może ktokolwiek. Cieszą się z rozwiązań jak stolarz, któremu udał się stół. Ale nie wychodzimy poza przykład stolarza. Patrzymy często na naukę poprzez to, co widzimy patrząc na dawne Royal Society z czasów Newtona i wielką matematykę niemiecką XIX wieku, gdzie Cantor i Riemann. Coś się od tego czasu w świecie zaczęło jednak zmieniać.

Oto uczeni zgromadzeni w Senacie Uczelni przegłosowują jednomyślnie bez uprzedniej dyskusji, że pewna procedura, obowiązująca wszystkich obywateli, ich nie obowiązuje.

Najtrudniej mówić o rzeczach oczywistych. Wielość argumentów atakuje wtedy myśl, a jej uczciwość podsuwa kontrprzykłady. Przerwijmy więc męczące wewnętrzne rozważania i powiedzmy za Panem Podbipiętą, że to przecież „niepięknie”, a od siebie wyrażmy to prościej: *nie wiem o co chodzi, ale to mi się nie podoba*.

Profesor Grabiński, nie roszcząc sobie miana specjalisty w żadnej ze słyszanych mu nauk, powodowany jest dociekaniem we wszystkim, z czym się styka, ostatecznej przyczyny, co jest jego przymusem myślowym, jak również i innych jego kolegów z zacnego Uniwersytetu. Pisząc „list do uczonego sąsiada” próbował umiejscowić przyczynę w pitagoreizmie ukorzenionym jakoby w klasie uczonej. Ale żaden z uczonych, których znał – czy to sam, czy to przez ich dzieła – nie należał do żadnego Zakonu. Przypomniał sobie zatem teraz, a czytana dawno kiedyś, rzecz Weizsackera „Część i całość”, a także książkę Weinberga o „teorii ostatecznej”, gdzie autorzy zwracali uwagę na niemal przeciwieństwo, jakie ma miejsce między elementem a całością. Dla siebie zostawił tylko „złotą myśl”, że oto kosmos składa się z elektronów, a nie jest sam do elektronu podobny. Potem jednak przypomniał sobie również Cantora i jego adwersarza Dedekinda, który nie składał, jak jego kolega, zbioru z elementów, lecz szukał od razu w nim kształtu i organizacji.

Jak łatwo tu się zgubić! Bo bywa, że kochamy klasę uczoną właśnie za jej uczoność i ideowość, potępiając jedynie tych niegodnych, a bywa tak, że spotykamy na naszej drodze tych prawdziwych, dziękując losowi za to, że umieścił nas w miejscu, gdzie takie spotkanie może się zdarzyć. A potem przychodzi refleksja nad nieoczekiwaną całością.

Jakieś ogólne ramy trzeba było zarysować. Czy nie za duże, jak na temat w zasadzie codzienny? Czy zacząć od tego, że dyskursu nie ma, jeśli słowo pada z ekranu i zna tylko jeden kierunek? Jeśli nie ma równorzędności, nie ma dialogu. Nie ma także mądrego monologu, jeśli słuchacza oceni się zbyt nisko. Schodzi się wtedy do jego mniemanego poziomu. Jest wreszcie pokusa zejścia do pouczeń, haseł, łatwych analogii, a wreszcie do epitetów. Czy powtarzać te ostatnie, tak obficie padające z ekranu, jako ostatnie słowo mniemanego „dyskutanta”, który boleje nad małą wiedzą społeczeństwa w zakresie jego dyscypliny? Prawda może jednak być okrutna. Jeśli dyskurs zmienia się w homilię, nie kształci się ani kapłan, ani wierny. Obraz naszego dyskursu naukowego i społecznego jest właśnie taki. Alan Bloom w swoim „Umyśle zamkniętym” pisał (bo już nie żyje), że to nie tylko w Polsce. Pisał też, że dla przejścia człowieka z ludu na drugą stronę lustra (czytaj: ekranu) wystarczyła w jego młodości znajomość Szekspira, dzisiaj rodzaj i szczebel wymagania uniwersyteckiego jest nieznany. Kiedy się jest w księgarni Prusa na Krakowskim, widzi się dziesiątki Wittgensteinów. Prawdziwy uczyony nie zrozumie z tego jednego zdania, młode studentki jednak się zaczytują. Przemija więc już ten czas, kiedy Profesor Steinhaus mógł powiedzieć, że mądrzej mu się rozmawia z „panienką na poczcie”, niż z uczonym doktorem. Jeśli przykład Wittgensteina nie przekonuje, to posłużmy się Falskim, który w odróżnieniu od Wittgensteinów, Husserłów i Heideggerów, scalał społeczeństwo. Ci wielcy

tęgo nie zrobią, oni nie są od tego, a scalać ktoś powinien. Faryzeuszami nazwali Judejczycy swoich przeuczonych kapłanów, którzy oderwali się od mas.

Kiedy ktoś wypowiada takie słowo, sypią się na niego gromy, że jest od tych, co to swoje wykształcenie brali w nieodpowiednich miejscach, których nazw się nie szczędzi, a padające epitety są niewyszukane. Uwielbiane przez naszą znakomitą większość Odrodzenie nie szczędziło epitetów scholastykom. Mimo że uczeni tych czasów (ale wyłączmy Keplera i usuńmy od podejrzeń Newtona) dokonywali na nich plagiatów, skutecznie przemilczając swoich prekursorów. Milczenie zapadło nad całym wielkim czternastym wiekiem. Zużyty został język, nasz wiek nie może się więc nazwać ani „odrodzeniem”, ani „oświeceniem”, musi poprzestać na numerze. A należałoby mu się to, bo jest „hardy”, podobnie jak dwa wymienione. Ale przypomnijmy, że te okresy (wyłączmy jeszcze Kopernika i Eulera) były skąpe w uczonych, a ich blask pochodził skądinąd.

Kiedy profesor Grabiński wypowiadał te heretyckie słowa, zatrzymał się. Ma, jak powiedział, a cechuje to penzeńskich profesorów, wbudowany gdzieś głęboko wykrywacz kłamstwa. Dostrzegł przeoczoną przez siebie w ferworze wywodów różnicę między dwiema wspomnianymi epokami. Oto uczeni Odrodzenia bywali paleni na stosie, Oświeconym to nie groziło, przeciwnie, to oni Ale tu Profesor nie kończy zdania. Nie zadaje pytania o wiek dwudziesty pierwszy

Drogi Marku! Wuj Tomasz zmęczył się długim wywodem. Nie chce już nic więcej dodać. Jest człowiekiem z natury dobrym. Myśli, które wypowiada, nie są jego myślami. Same zasiedlają jego umysł, co jako matematyk powinieneś rozumieć, bo matematyka, która przez nas przemawia, nie jest nigdy naszą. Napisał kiedyś w *Mathematical Intelligencer* Solomon Golomb, że jeśli bylibyśmy zdolni, przebywając od niemowlęctwa na bezludnej wyspie, albo będąc na innej planecie, odkryć sami twierdzenia teorii liczb, nie będą one inne niż te, które odkrył Euler. Poza tym Wuj Tomasz wyznaje zasadę, idącą jeszcze od Arystotelesa, że nie należy mówić dokładniej, niż na to pozwala przedmiot.

Zastępca Profesora

Penza, lipiec 2008.